665

— W tym roku ukazała się książka o pani, z pani nazwiskiem w tytule. Jak pani ją przyjęła?

— To bardzo dziwne. W momencie wręczania mi jej przez autorkę, panią Lidię Kuchtównę, przeżyłam wielką radość. Było to parę dni przed moimi imieninami, był to więc najmilszy prezent. Gdy jednak zaczęłam ją czytać, to w pewnym momencie odniosłam wrażenie, że czytam o kimś innym, o kimś, kogo wprawdzie dobrze znam, ale nie jestem to ja. Jestem cały czas w kieracie intensywnych, coraz to nowych zajęć zawodowych i być może dlatego mam mniej emocjonalny stosunek do tego, co było. Książka jest jakby dokumentem moich aktorskich poczynań, oceną, sumą recenzji, propozycji czy oczekiwań. Te oczekiwania i znaki zapytania naturalnie bardzo mnie cieszą.

— Uprawia pani czystą komedię, komedię charakterystyczną, farsę, groteskę, parodię, role liryczne i głęboko dramatyczne, czy naprawdę możemy liczyć na coś więcej?

— Zawsze interesowałam się formami muzycznymi, które uprawiałam poza teatrem, a więc estrada, kabaret, teatr żywego słowa. Przerwałam chwilowo tę działalność, ale myślę, że uda mi się do tego powrócić. Nadal pociąga mnie również pantomima! Pantomima intryguje mnie m.in. dlatego, że jestem skażona zawodem aktorskim, zawodem żywego słowa... Może uda mi się kiedyś sprawdzić swoje możliwości w tej formie wypowiedzi.

— Edward Csató w książce „Polski teatr współczesny" pisze, że ma pani w sobie organiczną „naturalną nienaturalność". Brzmi to jak komplement, nie dla wszystkich jednak zrozumiały.

— To określenie odnosiło się do interpretacji moich ról witkacowskich. We wszystkich rolach, w których zagrałam, a więc w „Kurce wodnej", „Janie Karolu Macieju Wścieklicy", „Matce" itd., Witkacy rozbudzał moją wyobraźnię. Jego teksty zostawiały mi olbrzymi margines. Gest, ruch sceniczny. Nie umiem powiedzieć, czemu to przypisać, że Witkacy tak silnie mnie inspiruje, ale jest to dla mnie materiał literacki tak przebogaty, że nie wyobrażam sobie, aby nie znaleźć jeszcze wielu innych sposobów, nie tylko na odczytanie, ale również na przekazywanie jego tekstów. Zawsze osobowość i talent autora ma w tej mierze decydujące znaczenie. Nie tylko zresztą dla aktora.

Barbara Krafftówna: „Moja cegiełka jest ostatnia"

— Pozostawmy na chwilę teatr i przejdźmy na podwórko filmowe. Wydaje mi się, że w tej dziedzinie zawiodło panią szczęście. Kazimierz Brandys i Wojciech Has tworzą film „Jak być kochaną", w którym pani rola jest oceniana jako najciekawsza postać kobieca w polskim filmie powojennym. Bez mała że wszystkich stron sypią się na nią nagrody i... na tym kończy się pani kariera filmowa...

— Szczęście i zbieg okoliczności, rzeczywiście, niejednokrotnie mają decydujące znaczenie w życiu poszczególnych aktorów, ale tak naprawdę, to na szczęście trzeba solidnie zapracować. Jeśli chodzi o mój udział w filmie... no cóż, przez te wszystkie lata pytanie to jest do mnie kierowane, a ono nie dotyczy tylko mnie, ale jeszcze kilku innych nazwisk aktorskich.

— Podobnie zresztą było i w telewizji. Przestaliśmy panią oglądać w momencie zamknięcia Kabaretu Starszych Panów.

— Występowałam jeszcze w kabarecie Olgi Lipińskiej, w teatrze telewizji też, ale dość rzadko. Zawsze bardziej interesowały mnie formy muzyczne, programy rozrywkowe, bo teatr dla mnie, to scena prawdziwa.

— Nie tęskni pani za Starszymi Panami?

— Oczywiście, że tęsknię i to bardzo, nie mnie jednej zresztą znane jest to uczucie. Wielu aktorom brakuje tego wspaniałego gatunku i stylu.

— Pani wszechstronność jest zdumiewająca. Klara Zachanassian w „Wizycie starszej pani", a jednocześnie wykonawczyni piosenek, które stają się przebojami: „W czasie deszczu dzieci się nudzą", „Rififi", „Przeklnę cię" czy też „Ballada o ogródkach działkowych"...

— Moje śpiewanie to zupełnie oddzielna strona mojego aktorskiego życiorysu. Kocham muzykę i dlatego też przez wszystkie lata, równolegle z pracą w teatrze, występowałam w radiu, kabaretach, podwieczorkach i na estradzie, aż wreszcie w Kabarecie Starszych Panów. Prawie wszystkie piosenki napisane przez Starszych Panów stały się przebojami. Znowu więc powracam do tego, co już powiedziałam, na sukces przede wszystkim musi się złożyć materiał literacki, muzyczny, a dopiero potem wykonawca. Moja cegiełka jest ostatnia. Chociaż rola interpretatora może być decydująca.

— Pani głos został porównany do brzmienia greckich instrumentów...?

— Tak, i byłam tym niezwykle zaskoczona. No cóż, po zakończeniu studiów i podjęciu pracy w teatrze okazało się, że mam tak słaby głos, że w trzecim rzędzie ledwie mnie słychać. Rozpoczęła się ogromna praca o siłę głosu. Trafiłam wtedy — i tu bym nazwała to wielkim szczęściem — we wspaniałe ręce pedagogów w osobach prof. Adama Ludwiga (ojca pani Barbary Ludwiżanki) i jego żony prof. Wandy Heindrychówny. Bez względu na porę roku i dnia, codziennie lub co drugi dzień jeździłam z Gdyni do Oliwy na lekcje. Tak było przez trzy lata. W sumie na ustawienie głosu przeznaczyłam siedem lat! Dotychczas nie spotkałam koleżanki czy kolegi, którzy tej sprawie poświęciliby więcej niż pół roku. I na tym, myślę, opierały się moje sukcesy.

Rozmawiała: **MAŁGORZATA L. SZWAJKOWSKA**